



# WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

WŁAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”  
Nr 10 (232)  
Rok VI  
13 III 1966 r.

## ZDZISŁAW KOZIÓŁ

**K**ONCEPCJA stworzenia jednolitego frontu wychowawczego zaczyna nabierać coraz realniejszych kształtów, chociaż szereg aspektów tego złożonego i społecznie doniosłego problemu budzi zarówno w teorii, jak i praktyce niemało wątpliwości i kontrowersyjnych sądów. Nie przesadzajmy jeśli stwierdzę, że np. w zakresie pedagogizacji rodziców doskonała się, zwłaszcza w ostatnich latach, widoczny postęp, co między innymi (a może głównie?) wynika ze wzrostu świadomości społecznej oraz miejsca, jakie w hierarchii społecznego uznania zajmuje kształcenie młodego pokolenia.

Ale prawdą powszechnie znaną jest także twierdzenie o ubocznych, niezamierzonych wpływach szeregu zjawisk i procesów. Wspomnę tylko o związkach przyczynowych między urbanizacją i industrializacją a przestępczością wśród nieletnich (problem ten zasługuje na odrębne omówienie). A rozwój środków masowej informacji, zwłaszcza telewizji? Napisano już niemało rozpraw o jej pozytywnym i negatywnym wpływie. Słowem, młódzież nie żyje w izolacji.

Ale tego rodzaju ogólne rozważania prowadzą często do uproszczeń, stereotypy zaś utrudniają analizowanie zjawisk i komentowanie zdarzeń. Poświęćmy tym razem nieco uwagi zagadnieniu wynikającemu ze znanego twierdzenia, że we współczesnym świecie sama szkoła nie podoba zadaniom wychowawczym.

Szkoła wymaga sojuszników; realizując tezę m. in. zainicjowano przed kilku laty ruch szefostwa zakładów pracy nad szkołami i placówkami opiekuńczo-wychowawczymi. Mówiono wówczas sporo o dydaktycznych i wychowawczych aspektach tej współpracy, ale najczęściej ograniczała się ona do świadczeń materialnych na rzecz szkoły. Zakłady pracy pomagały niekiedy w wyposażeniu gabinetów przedmiotowych, częściej zaopatrywały w surowce i narzędzia do majsterkowania, umożliwiały organizowanie wycieczek dostarczając samochodów, zapraszały uczniów klas starszych do zwiedzania obiektów fabrycznych.

Z czasem przedstawiciele niektórych zakładowych komitetów opiekuńczych, powoływanych głównie przez związki zawodowe, uczestniczyli w szkolnych uroczystościach. Szkoły zaś rewanżowały się czym mogły, z reguły występami zespołów artystycznych na akademiach zakładowych.

Inicjatywę w tym zakresie miały pobudzić i upowszechnić konkursy na najlepszy zakład opiekuńczy. I tym najlepszym młodzież rzeczywiście sporo zawdzięcza. Ze znanych mi przykładów wymienię szczególnie humanitarny; pracownicy kilku zakładów, m. in. krośnieńskich, usiłowali stworzyć wychowankom domu dziecka zastępczą rodzinę zapraszając ich do swych domów na święta i uroczystości. Na uwagę zasługują także organizowane w przedsiębiorstwach lekcje, a raczej swego rodzaju konsultacje z przedmiotów ścisłych połączone ze zwiedzaniem zakładu. Inżynierowie podczas takich wycieczek pogłębienie wyjaśniali uczniom np. tajniki funkcjonowania maszyn i urządzeń, co doskonale uzupełnia program nauczania, wzbudza zainteresowanie techniką.

Często jednak zdarzało się, że przedsięwzięcia podejmowane w ramach szefostwa nad szkołą nie przynosiły spodziewanych efektów. Nieodpowiednio zorganizowana wycieczka do zakładu była antypropagandą zawodów, do których chciało zachęcić młodzież (po wycieczce do jednego z przedsiębiorstw przemysłu spożywczego uczniowie przysięgali, że już nigdy nie wezmą do ust wytwarzanych w nim produktów; odstraszała podział brud). Dyrekcje zakładów nie znając potrzeb szkół, uszczęśliwiali je nieprzydatnymi lub całkowicie użytymi maszynami, które szkoły odwoziły do central złomu. Niekiedy szefostwo nad szkołą wykorzystywane było do wywierania nacisku na nauczycieli. Jedne szkoły posiadały kilku opiekunów, podczas gdy

pozostałe, zwłaszcza wiejskie, były ich pozbawione. Przykłady można mnożyć.

Rokrocznie przy okazji podsumowania wspomnianych konkursów mówiono o konieczności współdziałania wychowawczego szkoły i zakładu, bez bliższego jednak sprecyzowania tej koncepcji. Uciekano się więc do deklaratywnej frazeologii, a wysuwanych haseł nie przekształcono w jakiś zwarty program działania. W wielu wypadkach partnerzy po prostu nie wiedzieli właściwie co mają robić.

Ale już wówczas idea ta zyskała zwolenników zarówno wśród nauczycieli, jak i rodziców. Znałe mi przykłady potwierdzają tezę, że tego rodzaju działalność wymaga oso-

## AKCJA „WIEŻ”

bistego zaangażowania, w której każdy z nas w powołaniu. Twierdzenie to, które można zaliczyć do prawdy oczywistej, wyjaśnia dlaczego wiele społecznych komisji do spraw dzieci i młodzieży powoływanych przez organizacje czy instytucje, nie przejawia aktywności.

Uwierdziłem się w tym przekonaniu śledząc w powiecie krośnieńskim za harcerską akcją „Wież”. Zakrojona na szeroką skalę kampania, będąca obecnie jednym z ważniejszych kierunków pracy harcerskiej, ma na celu wszechstronne zapoznanie młodzieży z problematyką współczesności, przygotowanie jej do życia i pracy w społeczeństwie. Pełna nazwa akcji brzmi: „Wież z ludźmi pracy, z techniką, z zakładem produkcyjnym”.

Harcerska kampania „Wież”, której współorganizatorami są także związki zawodowe oraz pozostałe organizacje młodzieżowe, jest jak gdyby kontynuacją podejmowanych uprzednio inicjatyw, akcją wydatnie wzbogaconą, przede wszystkim o konkretny program pracy wychowawczej. Nie bez znaczenia są także metody i formy działalności, harcerskie, atrakcyjniejsze...

Akcja „Wież” jest rzeczywiście masowa. W powiecie krośnieńskim współpracę z przedsiębiorstwami i instytucjami podjęło już około 170 drużyn ZHP na 193 istniejące. Komendant Hufca mgr Zdzisław Niedzielski, pełniący tę funkcję społecznie, szeroko opowiadał mi o pracy Powiatowej Rady Przyjaciół Harcerstwa oraz Kół Przyjaciół Harcerstwa, które skupiają przedstawicieli niemal wszystkich zawodów z przewagą jednak inteligencji, chociaż nie brak także rolników. Opowiadał mi również o wielu działaczach i aktywistach...

O każdym z nich można napisać odrębny reportaż, i gdybym je pisał, starałbym się odkryć motywy, którymi kierują się podejmując pracę w harcerstwie. Wspomnę o kilku z nich. Przewodniczącym PRPH jest znany naukowiec doc. Henryk Górka. Janina Gładysz, pracownica dyrekcji PKS, wieloletni instruktor ZHP, pełni obecnie funkcję zastępcy komendanta Hufca, a równocześnie komendantka regionu ZHP, kierując pracą drużyn w podmiejskich wioskach. Mgr Bolesław Nowak był kiedyś kierownikiem szkoły podstawowej, studiował zaocznie, awansował na dyrektora Zasadniczej Szkoły Zawodowej dla Pracujących. Specyfika tego szkolnictwa to już odrębny problem; w krośnieńskiej szkole rozwiązywanie wielu problemów wychowawczych ułatwia istnienie aktywnej drużyny harcerskiej. Dyrektor tej szkoły jest członkiem Komendy Hufca ZHP.

Krośnieńscy działacze ZHP i nauczyciele jeszcze przed ogłoszeniem

akcji „Wież” usiłowali współpracy szkół z przedsiębiorstwami nadać charakter wychowawczy i dydaktyczny; podejmowano lokalne inicjatywy, którym nadawano różne nazwy np. „Nasza załoga”. Realizując nowy program upowszechniono stosowane uprzednio formy pracy. Sprzyja temu m. in. powołanie powiatowego sztabu akcji „Wież”, w którego skład obok działaczy harcerskich wchodzi również przedstawiciele zakładów pracy. Wielu z nich zaczyna imponować praca harcerska... Pozwoli to może poszerzyć liczebnie skromne jeszcze grono działaczy harcerskich spośród pracowników przedsiębiorstw przemysłowych, a zwłaszcza kadry inżynieryjno-technicznej.

A oto kilka przykładów z powiatu krośnieńskiego. Harcerze z Liceum Ogólnokształcącego opracowali monografię górnictwa w tym powiecie; z Technikum Włókienniczego zaś — kronikę „Lnianki” ze szczególnym uwzględnieniem ruchu strajkowego. Sporządzili także mapę eksportu z powiatu krośnieńskiego. Podobne mapy wykonały także inne drużyny. Nauczyciele twierdzą, że są one doskonałymi pomocami naukowymi; nietatwo np. spamiętać nazwy krajów afrykańskich, ułatwia to „własna” mapa z oznaczonymi państwami, do których zakład opiekuńczy wysyła towary. Wychowawcze i poznawcze znaczenie tej nietrudnej w realizacji, lecz pomysłowej inicjatywy jest oczywiste. Krośnieńscy harcerze sporządzili również mapę powiatu, na której oznaczyli wszystkie obiekty zbudowane w 20-lecie.

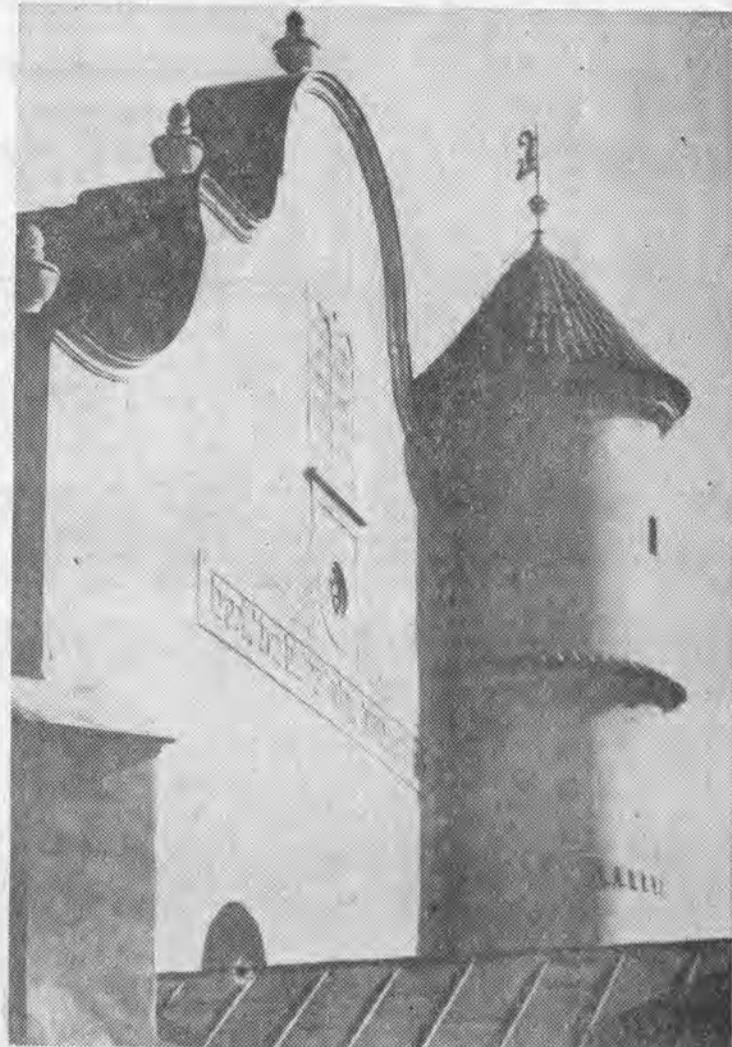
Podobne ekspozyty widziałem w Wojewódzkiej Bibliotece Dziecięcej nadesłane na konkurs „Wędrujemy po Polsce śladem 20-lecia PRL”. By je wykonać dzieci wysłały listy do przedsiębiorstw z prośbą o informację w sprawie produkcji lub o przesłanie próbek wyrobów. Niektóre przedsiębiorstwa poważnie potraktowały te listy. Szczególnie udanymi pracami konkursowymi były te, które dotyczyły środowiska czy przedsiębiorstw znanych dzieciom z bezpośrednich kontaktów\*).

Efektem współpracy szkół z zakładami są wystawy obrazujące proces technologiczny w danym przedsiębiorstwie. Helena Pelczar, kierowniczka Szkoły Podstawowej nr 1 w Korczynie twierdzi, że tego rodzaju współpraca jest wysoce pożyteczna dla samych nauczycieli, którzy poznając miejscowe zakłady wiedzą znacznie więcej o rodzicach swych dzieci i w ogóle problemach środowiska. A i samo zapoznanie się z procesem produkcyjnym np. w miejscowej spółdzielni tkaczy jest bardzo interesujące.

Przykład Korczyny, tamtejszych szkół i zakładów, uzasadnia tezę o wzajemnym wpływie. Każde przedsięwzięcie musi być jednak uprzednio przemyślane. Chociażby pozornie tak prosta sprawa, jak wycieczki do zakładu. W Korczynie najmłodsi harcerze, tzw. o c h o t n i c y, idą do zakładu, by zobaczyć maszyn i pracujących ludzi, starsi — t r o p i c i e l e, pytają m. in. o występujące w zakładzie specjalności, interesują się pracą człowieka, najstarsi zaś (klasa VII) — o d k r y w c y, zwiedzają zakład z myślą o ewentualnej w nim pracy. Symbolika harcerska, umundurowanie itp. oddziaływa także na dorosłych; korczyńscy robotnicy przyjmują harcerzy gościnnie. Gdy zaś dziecko zobaczy przy warsztacie swoją matkę lub ojca, nabiera szacunku do ich pracy; rodzice jak gdyby urastają w oczach dzieci. Jeszcze jeden przykład z Korczyny: harcerze przed kilku laty zdobywali sprawność strażacką, po ukończeniu szkoły wstąpili do OSP, a jeden z nich, 19-letni Stanisław Gonet jest obecnie instruktorem harcerskiej drużyny pożarniczej.

Nie będę wymieniał świadków materialnych tamtejszych zakładów na rzecz szkół: prezes Korczyńskich Zakładów Spożywczych Adolf Jakubowicz, czy prezes RSP Przemysłu Drzewnego Kazimierz Kuliga oraz ich współpracownicy, wśród których wielu należy do Koła Przyjaciół Harcerstwa, nie zapominają o

(Ciąg dalszy na str. 2)



Synagoga obronna w Lesku nadal oczekuje na właściwą opiekę, a szczególnie rozwiązanie problemu centralnego ogrzewania. Warto też chyba już dziś, przed rozpoczęciem sezonu turystycznego, pomyśleć o umieszczeniu na widocznym miejscu drogowym dla miłośników zabytków, aby na trasie w Bieszczady nie ominęli tego rarytasu architektury. Fot. — ZDZISŁAW POSTĘPSKI

## 1966 • FESTIWAL Kulturalny

Trwają przygotowania do Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. We wszystkich województwach odbyły się organizowane przez woj. komisje zw. zawodowych spotkania z kierownikami domów kultury, klubów i świetlic związkowych oraz z instruktorami amatorskich zespołów artystycznych. Przedyskutowano założenia organizacyjne i programowe festiwalu. W niektórych miastach wojewódzkich, m. in. w Bydgoszczy, urządzono spotkania z przedstawicielami wydziałów kultury prezydów WRN oraz kierownikami powiatowych domów kultury w celu omówienia współpracy w okresie festiwalu.

Można już mówić o tym, że Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych ma charakter powszechny, udział w imprezie zgłosiła bowiem większość związkowych placówek kulturalnych i zespołów artystycznych (m. in. wszystkie placówki i zespoły Związku Zawodowego Górników). Związkowe zespoły artystyczne pracują obecnie nad pozycjami, które zaprezentują w czasie festiwalowych przeglądów. Np. Teatr Robotniczy w Stalowej Woli przygotowuje inscenizację „Kolumbów” Bratnego, a Teatr Robotniczy (Włókienka) w Bielawie (woj. wrocławskie) — „Popiołu i diamentu” Andrzejaewskiego. Powstają nowe zespoły muzyczne i wokalne, akces do festiwalu zgłaszają liczni soliści. Jak wiadomo, I etap festiwalu — przegląd środowiskowy amatorskich zespołów artystycznych oraz solistów przewidziany jest w maju.

Placówki kulturalne związków zawodowych kończą opracowywać plany działalności. Wiele miejsca w programach pracy zajmują odczyty i imprezy poświęcone 1000-leciu Państwa Polskiego. Imprezą festiwalu, która zakończy się najwcześniej, bo już w kwietniu, jest plebiscyt „Bliżej książki współczesnej”.

Już obecnie wiadomo, że niektóre biblioteki związkowe, m. in. w Żyrardowie, Nowej Hucie i Bielsku Białym, zebrały po kilka tysięcy wypowiedzi czytelników o książkach wydanych i wznowionych w 1965 r.

Do festiwalu włączają się organizacje społeczne. Prezydium Zarządu Głównego ZMS wydało zarządowi i ogniowom terenowym organizacji zalecenia jak najszerzego udziału w wielkiej imprezie kulturalnej związków zawodowych.

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

# Pod znakiem pióra i palety

Zdzisław Ostrowski należy do pokolenia trzydziestolatków, którzy przed dwunastu laty, w czasie studiów na Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie założyli głośną późniejszą grupę XIV. O grupie tej pisało kiedyś i mówiono dużo. Okoliczności jej działalności są w Rzeszowie dobrze znane, dlatego też zajmując się osobą Zdzisława Ostrowskiego, ograniczę się jedynie do przypomnienia, że Grupa XIV odegrała bardzo poważną rolę w rozwoju ośrodka plastycznego w naszym mieście. Jej członkowie stali się inicjatorami wielu cennych poczynań kulturalnych, a ich twórczość wzbogaciła całe środowisko.

Ostrowski urodził się w roku 1931 w Rawie Ruskiej. W roku 1944 repatriuje się wraz z rodziną i osiedla na stałe w Rzeszowie. Po skończeniu gimnazjum, wierny swoim zainteresowaniom, podejmuje studia w krakowskiej ASP. Jest rok 1951. W kilka lat później wraca do miasta nad Wisłokiem wspólnie z grupą kolegów, wychowanków tej samej uczelni. Połowa lat pięćdziesiątych — czas największej aktywności Grupy XIV, jest zarazem okresem formowania się osobowości artystycznej większości jej członków, pierwszych wystąpień w zbiorowych wystawach środowiskowych. Na indywidualne ekspozycje trzeba będzie jeszcze poczekać kilka lat.

przy ZW ZMW, a niedawno do nowo powstałego Klubu Literackiego. W klubach wybrano go członkiem zarządów, podobnie zresztą jak w „macierzystym” Związku Plastyków, gdzie od lat pełni rozmaite funkcje, najpierw w oddziale, a obecnie w zarządzie Okręgu ZPAP. Jest poetą raczej trudnym w potocznym tego słowa znaczeniu: pisze wiersze, zmuszające czytelnika



do pewnego wysiłku intelektualnego i publikuje je od czasu do czasu na łamach czasopisma. Uzbierało się tych wierszy na debiutancki tomik, który ma się ukazać w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Mylny byłby jednakże pogląd, że kierując swoje myśli w stronę literatury, Ostrowski zdradził sztukę. Widocznie dzieli swój czas sprawiedliwie, bo jego twórczość

konkursie pt. „Lata walki w dziełach sztuki”. Udział we wspomnianych konkursach mówi o zainteresowaniach Ostrowskiego, o podejmowaniu przez niego problemów znajdujących się w centrum zainteresowania społeczeństwa, środowiska, w którym żyje.

Ostatnie lata oznaczają doskonalenie warsztatu, poszukiwania nowych form wyrazu, dojrzewanie świadomości artystycznej Ostrowskiego, malarza i poety. Krytyka sygnalizowała znamienne ewolucje w jego twórczości plastycznej: z poszukiwań po obszarach sztuki niefiguratywnej, abstrakcyjnej — zmierzając do kierunku niebanalnego, szeroko pojmowanego realizmu. Operując przez dłuższy czas dosyć wąską paletą kolorystyczną, wydaje się obecnie odchodzić od tego kręgu barw. Widoczne jest to m. in. w jego olejnym płótnie „Tarnobrzskie haldy”, które, jako jedna z trzech prac, reprezentowało rzeszowskie środowisko plastyczne na ogólnopolskiej wystawie pt. „Dwadzieścia lat PRL w twórczości plastycznej”. Wystawa ta otwarta była w warszawskiej „Zachęcie” w maju ubr. „Tarnobrzskie haldy” zakupione zostały do zbiorów Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Ostrowski znalazł się również — w towarzystwie dwu kolegów (Ku-



Fot. M. KOPEĆ

Ostrowski kończy studia dopiero w 1957 roku, ale już w 1955 wystawia swoje pierwsze prace, biorąc udział w pionierskich ekspozycjach Grupy XIV w województwie rzeszowskim, w Grudziądzu i w Warszawie. Podobnie jak większość kolegów, debiutuje jako student. Kończąc studia już jako członek grupy, dzieli jej dole i niedole. Nie zaniedbuje jednakże własnej twórczości, nie omija wystaw środowiskowych, a także zaczyna poważnie myśleć o ekspozycjach zewnętrznych. Lata płyną, Grupa XIV łączy się z oddziałem ZPAP, zanika powoli podział na „starych” i „młodych”.

Ostrowski wspólnie z kolegami prezentuje swoje prace na wystawie malarstwa „Polskie Dzieło Plastyczne w XV-lecie PRL” (Warszawa 1961), w ekspozycji plastyki czterech wschodnich województw (w 1963 r.). W roku 1963 występuje ze swą pierwszą wystawą indywidualną w Rzeszowie, rok wcześniej wysłał obrazy na I Festiwal Malarstwa Współczesnego w Szczecinie.

Nie jest to pełny rejestr poczynań Ostrowskiego, może jednak służyć jako ilustracja jego aktywnej postawy. Malarstwo — to jak się wydaje, życiowa pasja Zdzisława, ale przecież nie jedyna. Z malarzem — rywalizuje poeta!

Podejrzewam, że poezja interesowała Ostrowskiego od dawna, ale przez długi czas dawał on zdecydowane pierwszeństwo twórczości plastycznej. Jeżeli się nie myle, od paru lat zainteresowania poetyckie torują sobie powoli drogę do równouprawnienia. Tak chyba wolno tłumaczyć sobie ten akces do korespondencyjnego klubu młodych

plastyczna nie wykazuje znamion stagnacji. Oprócz malarstwa, rysunku, grafiki, zajmuje się też sztuką użytkową (które to zajęcia zresztą stanowi — podobnie jak i innych rzeszowskich plastyków — podstawę utrzymania trzyosobowej rodziny Zdzicha), projektuje wnętrza sklepów, klubów, opracowuje wystawy itp. Nie stroni od konkursów plastycznych, ogłaszanych dla członków rzeszowskiego ZPAP. W roku 1963 otrzymuje pierwszą nagrodę w konkursie MRN w Rzeszowie „Rzeszów w grafice i rysunku”, w tym samym roku przypada mu druga nagroda w ogłoszonym przez KW PZPR i WRN

da i Czyża) na ubiegłorocznym festiwalu młodego malarstwa w Sopotcie, imprezie, której znaczenie krytyka artystyczna porównywała z głośnym w latach pięćdziesiątych warszawskim „Arsenałem”.

Daleki jestem od ferowania zbyt pochlebnych, rozmiłających się z rzeczywistością opinii. Ale nie będzie chyba przesadą w stwierdzeniu, że Zdzisław należy do grona najbardziej ambitnych i pracowitych ludzi w rzeszowskim środowisku plastycznym, że traktuje sztukę z należytą jej odpowiedzialnością i obce są mu pogody za tanim efektem, epatowaniem pozornymi „odkryciami”.

## AKCJA „WIĘŹ”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

swych podopiecznych. W Koreszynie zwracano mi uwagę jeszcze na taki aspekt zagadnienia: współpraca szkoły i zakładów jest jednym z czynników konsolidujących mieszkańców, dawnych rzemieślników, chłopów oraz ludności napływowej.

Niemalą można by jeszcze napisać o pracy innych drużyn, programach wycieczek połączonych z symboliczną pracą w odwiedzanych instytucjach, spotkaniach z inżynierami i technnikami, organizowanych wystawach itp. Czas jednak przejść do pewnych ogólniejszych konkluzji.

Spotykałem się także ze zjawiskami budzącymi niepokój. Wielu nauczycieli nie docenia dydaktycznych i wychowawczych korzyści tej

współpracy, hołduje swego rodzaju izolacjonizmowi, obawia się niewłaściwego oddziaływania ludzi spoza szkoły. Stąd m. in. nawet wypadki szkodliwego instruktorów harcerskich. Niektórzy zaś aktywności ZHP mniemają, że sami poddają stworzeniu pozaszkolnego środowiska wychowawczego. Rzecz jasna, oceny te wymagają pogłębienia. Uczynią to może sami zainteresowani? Lamy „Widnokrąg” są dla nich otwarte. Szczególnie interesującym zagadnieniem jest to, w jakim stopniu harcerska akcja „Więź” stworzyła klimat sprzyjający kontynuowaniu współpracy szkół z przedsiębiorstwami, jakie są możliwości pozyskania dla harcerskiego instruktorów spośród pracowników zakładów produkcyjnych. Z tym ostatnim problemem ściśle

JERZY WALAWSKI

# Sezon kulturalny

(List z Krakowa)

Sezon wycieczkowy jeszcze się nie rozpoczął, w krakowskich restauracjach można na ogół w porze obiadowej zjeść obiad, przy odrobinie szczęścia znajdzie się nawet miejsce w kawiarni. Polecam obejrzenie „Jamy Michalikowej”, która w ub. roku została kosztem paruset tysięcy złotych orestaurowana i dziś jeszcze można ją oglądać w pełnej krasie. Należy się jednak pośpieszyć, gdyż wciąż oblega kawiarnię „Wyż”, szczególnie plot żeńskiej, szczególnie o reputacji dość wątpliwej, który poza różnorodnymi „talentami” posiada szczególnie uzdolnienia w kierunku dewastowania zabytkowych wnętrz. Personel kawiarni stara się wszelkimi sposobami wyproszyć nie najbardziej pożądanymi gości, ale nie zawsze mu się to udaje.

Przedwiośnie choć niezwykle wczesne w tym roku nie sprzyja zbiorowym wycieczkom, utarı się u nas zwyciężaj organizowania wycieczek w pełni lata, w okresie kanikuli. Wycieczki pod znakiem Psiej Gwiazdy zmieniają się w wycieczki pod psem, zwiędzając odnośną niewielką korzyść. Dlatego zachęcam zarówno mieszkańców Rzeszowa, jak i całego województwa do odwiedzenia Krakowa w marcu, w kwietniu, nawet jeszcze w pierwszej połowie maja, kiedy nie ma trudności hotelowych i gastronomicznych, kiedy w teatrach łatwiej o bilety, kiedy Wawel, muzea i galerie obrazów można oglądać bez zbytejnego ścisłu i wyczekiwania przed wejściem.

Zachęcam do odwiedzania Krakowa w sezonie przedwiosennym także dlatego, że sezon ten jest dość bogaty w wydarzenia kulturalne, obfituje w cały szereg ciekawych, wartych obejrzenia imprez. Sami tylko miłośnicy teatru znajdą kilka sztuk, zaliczanych w świecie teatralnym do „lektury obowiązkowej” i obowiązującej. Więc przede wszystkim „Tango” Mrożka w teatrze Kameralnym, znakomita tragigroteska o cechach dramatu rodzinnego, realistyczny absurd, albo jak ktoś woli absurdałny realizm, tragedia polegająca na braku tragedii, konflikt na tle bezkonfliktowości. Niechętnie śmiejęmy się sami z siebie, tym większa zastęga Mrożka, że sztuka ma tak olbrzymie powodzenie.

W tym samym teatrze polecam sztukę „Kto się boi Virginii Woolf” i „Jasny, pogodny dzień” — Leona Pawlika. Ta ostatnia sztuka jest prapremierą i podwójnym debiutem, zarówno autora jak reżysera. Pochodzi z konkursu rozpisanego przez Wydział Kultury RN miasta Krakowa w roku 1965. Autorem jej jest młody dwudziestokilkuletni farmaceuta, który jak dotąd nie próbował sił na polu dramatu, ani w żadnej z dziedzin literackich. Treść sztuki mówi najogólniej o rektorze bliżej nieokreślonego uniwersytetu, do którego w dniu jubileuszu uczelni przychodzi tajemniczy pan i oznajmia, że rektor ma przed sobą zaledwie jedną godzinę życia. Pomysł jest dość naiwny, ale dramat napisany z dużą kulturą literacką jest niezwykle sugestywny i wywołuje duże wrażenie u środowisku krakowskim, przypominając znane wydarzenia, postacie, fakty.

Nie sposób omówić wszystkich sztuk, a nie chce się ograniczać do mechanicznego wyciszania. Przypominam tylko, że w „Grotesce” można zobaczyć „Ubu króla” Jarry'ego, w „Rozmaitościach” — „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, wreszcie w „Ludowym” — „Misterium Buffo”

Majakowskiego. Ta ostatnia zresztą sztuka razi trochę swoją naiwnością, to nie jest Majakowski z „Łaźni”.

Obfity zestaw operowy prezentuje Miejski Teatr Muzyczny w Krakowie mający w swoim repertuarze kilkanaście oper i baletów, m. in. „Halke”, „Straszny Dwór”, „Tosca”, „Harnasie”, „Rigoletto”, „Carmen”, „Don Juana”, „Dama Pikołowa”.

Na dobrą sprawę warto przyjechać do Krakowa mając na uwadze tylko teatry. Wystarczy wybrać się w niedzielę przed południem i można obejrzeć nawet dwa spektakle — przedpołudniowy i wieczorny, a jeżeli ktoś jest wielce rozmiłowany w teatrze, to nawet trzy, bo są jeszcze popołudniówki.

Znajdzie się też coś ciekawego dla miłośników bardziej frywolnej muzyki. Myślę o kabaretach, na które urodzaj w tym roku. Oczywiście prym wiodzie jak zwykle „Jama Michalikoowa”, znakomita trójka autorska Tadeusz Kwiatkowski, Bruno Miecugow i Jacek Stwora prezentują nowy program „A to ci raj”. Inny typ kabaretu to „Piwnica” z uroczym wygłupem, świetną piosenką i Piotrem Skrzyneckim. Najnowszy spektakl piwniczny nosi tytuł „Jak żyliśmy, jak żyjemy, do czego doprowadzimy nasze mieszkania”. Bilet wstępny 20 złotych, ilość miejsc ograniczona, pora dość późna — początek występów o godzinie 22 w każdą sobotę.

Poza tymi dwoma renomowanymi już kabaretami próbę kabaretową zainicjował klub TPPR, programem „Wesołe kontakty” i klub SAiW programem „Złota głowa”. Obydwa kluby są dopiero po premierach, więc trudno przewidzieć jak się inicjatywa rozwine. Ciekawszą wydaje mi się próba SAiW, gdyż ma to być kabaret literacki, oparty przede wszystkim na słowie, a nie na widowisku. Więc jeżeli „fonia” nie wyszłdzie przed czasem, to być może zyskamy jeszcze jeden kabaret.

Co jeszcze godne jest odnotowania? Niewątpliwie „Wieczory Wawelskie” — imprezy o charakterze galowym, odbywające się na Wawelu, będące połączeniem wieczoru autorskiego i recitalu muzycznego. Biorą w nich udział wybitni pisarze i muzycy, odbyły się dotąd dwa spotkania z Wandą Wilkomirską i Jarostawem Iwaszkiewiczem oraz z Haliną Czerny-Stejańską i Jerzym Andrzejewskim.

Wreszcie „Salon Literacki”, czyli żywy dwutygodnik kulturalny, inicjatywa KDK „Pod Baranami”. Raz na dwa tygodnie zbierają się w reprezentacyjnym salonie KDK krakowskie znakomitości: przedstawiciele świata literackiego, naukowego, a także działacze społeczni, no i muzycy, i aktorzy, dziennikarze też nie brakuje i plastyka, każdy z uczestników, a raczej z twórców tego żywego dwutygodnika produkuje artykuł, albo felieton, albo recenzję, albo reportaż. Kapitał prowadzi spektakl dr Zbigniew Siatkowski, znakomity erudyta i mówca, a przy tym człowiek obdarzony nieprzeciętnym poczuciem humoru. Siatkowski jest najznakomitszym naczelnym redaktorem jakiego można sobie wyobrazić, a przy tym wszystkim niezwykle tolerancyjnym, zostawia swoim współpracownikom najpełniejszą swobodę wypowiedzi, a nawet ratuje ich z opresji, kiedy zawodzi „pióro” — ratuje przy pomocy celnego dowcipu.

Bardzo mi się podoba „Salon Literacki” i uważam, że można by podobną imprezę organizować cyklicznie również w Rzeszowie. Zresztą trzeba lojalnie przyznać, że Rzeszów organizował coś podobnego, a ściślej mówiąc redakcja „Nowin Rzeszowskich” w okresie Dni Oświaty, Książki i Prasy. Wydaje mi się, że WDK mógłby wyszperać trochę grosza na podjęcie podobnej imprezy bez specjalnie świątecznej okazji, a w Rzeszowie znaleźliby się ludzie, którzy mają dużo ciekawego do powiedzenia. A od czasu do czasu można by zaprosić także kogoś z zewnątrz... niekoniecznie zresztą z Krakowa.

Kończąc swój list. Z całą pewnością, umknęło mi sporo zjawisk kulturalnych, pominałem mnóstwo drobnych inicjatyw, może ciekawych, ale rozproszonych po dziesiątkach placówek, niemożliwych do ogarnięcia. Staralem się pokazać te liczące się najbardziej — i ponawiam swoje zaproszenie — przyjeżdżajcie do Krakowa już teraz, nie czekając na okres letni. Będziecie z całą pewnością w pełni usatysfakcjonowani.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

\*) Konkurs ten miał za zadanie spopularyzować wśród dzieci osiągnięcia PRL, ukazać im przemiany dokonane w 30-lecie. Lekcja nadesłanych prac zastępuje na bardziej użyteczną pod dyktando starszych, pisała o przedwojennym nędzy, zacięciu itp. Odniosłem wrażenie, że nie rozumiały one znaczenia używanych terminów. Natomiast wypracowania samodzielnie traktujące o konkretnych sprawach środowiska np. kolejno wnoszonych inwestycjach miały zupełnie odmienny charakter. Cechowała je szczerść, zrozumienie przemian dokonywających się na oczach dzieci.

# ŚLADAMI TYSIĄCLECIA

ANTONI KUNYSZ

## Na tropach państwa Wiślan i Chorwatów

Dzieje Polski południowej w IX i pierwszej połowie X w. są nam lepiej znane aniżeli przeszłość ziem Polski środkowej i północnej. Ziemię Polski południowej znalazły się

wykopalisk w Wiślicy, którą uznawano do niedawna za domniemaną stolicę Wiślan należy odnieść do czasów późniejszych z XI—XII w. Śladem wpływów morawskich w

ploatacją soli. Z rejonu Kruszwicy i Krakowa posiadamy najwięcej legend związanych z najdawniejszą przeszłością naszych ziem. Na w/w obszarach dość wcześnie dochodzi

do uformowania się państw plemiennych: Polan (na północy) i Wiślan (na południu).

Podjęte w ostatnich latach szerokie badania archeologiczne na obszarze górnego dorzecza Sanu w rejonie sanockim i przemyskim pozwoliły odkryć wiele grodów, cmentarzy kurhanowych oraz zagadkowych dużych kopców. Niektóre z tych obiektów należy odnieść do wieków VI—IX. Niestety, stan badań jest jeszcze daleki od pełnego obrazu dziejów tych ziem. Niemniej poparcie naszych rozważań danymi źródłowymi do wieku X zdają się potwierdzać słuszność lokalizowania na tym terenie Chorwatów. Przypomnę tutaj wzmianki kronikarza ruskiego, tzw. Nestora, który mówi pod r. 992 o wyprawie księcia Włodzimierza na Chorwaty. Do tego czasu należałoby odnieść nieco późniejszą wzmiankę kronikarską Mistra Wincentego Kadłubka (XIII w.) mówiącą o wyprawie Bolesława Chrobrego na Kroatów (Cravacios, Carvacios, Crovacios). Gdzie mogła zmierzać jedna i druga wyprawa, dokonywana przez dwóch dzielnych książąt, chyba tylko i wyłącznie na Chorwatów zamieszkujących dorzecze Sanu i Dniestru. Tutaj bowiem dość wcześnie dochodzi do rywalizacji Rusi Kijowskiej i Państwa Piastów.

W ten sposób mogliśmy stwierdzić, że obszary górnego dorzecza Sanu i Dniestru zamieszkiwane były przed IX wiekiem przez plemię Chorwatów. Nad zagadnieniem Chorwatów winny trwać badania wyjaśniające ich zasieg terytorialny, kulturę materialną, ich kontakty z plemionami sąsiednimi itp.



w IX stuleciu w zasięgu ekspansji państwa morawskiego, dzięki czemu posiadali o nich wcześniejsze wiadomości.

Relacje, jakie posiadamy o Państwie Wiślan zostały nam przekazane w Żywocie Sw. Metodego — zwanym obszernym lub Legendą panańską. Czytamy w nim między innymi następującą wiadomość „Pogański książę bardzo potężny siedząc w Wiśle, urągał chrześcijanom i wyrządził im szkody. Postawisz więc do niego Metodego rzekł: Dobrze byłoby, abyś się ochrzcił synu, dobrowolnie na własnej ziemi, wówczas nie będziesz więziony do niewoli i pod przymusem ochrzczony na cudzej ziemi. I wspomniesz mnie. — „Tak się też stało”.

Cóż to za kraj Wisły, o którym mówi kronikarz? Jest to po prostu kraina nosząca nazwę od rzeki Wisły, tak jak Morawy od rzeki Morawy. Również w sporządzonej na polecenie króla angielskiego Alfreda (871—901) anglosaskiej przeróbce spisanych po łacinie „Dziejów święta” Orosiusza interesujący nas kraj zwany „Wisły” określa się mianem „Visle-land”, czyli „Kraj Wisły”. Jest to również Kraj Wiślan, o którym podał nam wiadomości z IX wieku autor Geografa Bawarskiego.

Czy w świetle przytoczonych źródeł można kwestionować istnienie potężnego Państwa Wiślan? Źródła pisane, jak i wyniki badań archeologicznych potwierdzają istnienie w Polsce południowej znacznego organizmu plemiennego. Państwo to w IX wieku pozostawać musiało we wrogich stosunkach ze Świętoplekiem morawskim. W odwecie prawdopodobnie książę Świętopełk zaproponował księciu Wiślanemu pokój lub wojnę. W celach pokojowej misji mogli być użyci misjonarze arcybiskupa panańskiego Metodego, który stworzył prowincję kościelną z religią w obrządku łacińskim. Książę Wiślan nie przyjął pokojowej misji Morawian, kontynuował wojnę z Państwem Wielkomorawskim, w rezultacie ponosi klęskę, dostaje się do niewoli i tam przyjmuje nową wiarę chrześcijańską. Fakt ten mógł mieć miejsce około r. 880. Misja chrześcijańska Morawian na terenie Polski południowej nie została żadnym wyraźniejszym śladem. Istnienie na terenie Krakowa, który jest uznawany za stolicę państwa Wiślan, kilku dość wcześnie datowanych budowli sakralnych, jak rotunda św. Feliksa i Adaukta czy kościółek św. Salwatora, mający wiele analogii w budowliach tego typu znanych na Morawach (Mikulczice, Stare Mesto) zdaje się potwierdzać wpływy wielkomorawskie w Ziemi Krakowskiej. W świetle ostatnich badań wyniki

Polsce południowej mogą być wielkie grodziska znane ze Stradowa (pow. Pińczów) Zawady Lanekorońskiej, Naszacowice (pow. Nowy Sącz) i wiele innych.

Można by tutaj postawić pytanie, czy ziemie stanowiące dzisiejsze województwo rzeszowskie wchodziły w obszar Państwa Wiślan?

Dane językowe dla wielu miejscowości na tym obszarze oraz rzek: Wisłoka i Wisłoki zdają się potwierdzać związki z Państwem Wiślan. Ogół badaczy przyjmuje, że wschodnie granice sięgały rzeki Sanu. Tak daleki zasięg Państwa Wiślan na wschód możemy przyjąć w wieku IX w okresie jego największej potęgi. Wcześniej na terenach nad Sanem i w górnym dorzeczu Dniestru znajdowało się państwo Chorwatów (zob. mapa).

Cóż to był za lud owi Chorwaci? Według zdania wielu uczonych, pochodzenie Chorwatów oraz ich siedziby nie są dokładnie wyjaśnione. Wynika to między innymi z tego, że źródła pisane mówią o Chorwatach ruskich, czeskich oraz bałkańskich (obszary dzisiejszej Jugosławii). Wydaje się najszlachetniejsze przyjąć rozwiązanie następujące: Rzesza Chorwacka obejmowała dość duży obszar (od górnego dorzecza Dniestru po Łabę). W okresie wędrowek ludów Chorwaci rozpoczynają wędrowkę na południe, część z nich osiedla się w Czechach, pozostała zaś grupa zatrzymała się w zachodniej części Półwyspu Bałkańskiego. Niektórzy chcą widzieć w Państwie Wiślan relikty Rzeszy Chorwackiej zw. też Białą Chorwacją wzmiankowaną między innymi w dziele Konstantyna Porfirogenety (wiek X).

W ostatnich opracowaniach wielu uczonych wypowiedziało się za lokalizacją plemienia Chorwatów w górnym dorzeczu Sanu i Dniestru (H. Łowmiański, K. Tymieniecki, W. D. Koroluk, Fr. Persowski i inni). Badania archeologiczne na tym terenie potwierdzają pewną odrębność kulturową. Uwarunkowane to zostało czynnikami geograficznymi. Od południa naturalną granicę tego obszaru stanowiły Karpaty, od wschodu bagna nadnadrzańskie, od północy zaś Rostocze i bagniste tereny Puszczy Sandomierskiej. Jedynie zachodnie tereny posiadały dogodnie połączenia z sąsiednimi plemionami. Bogate źródła słone występujące na tym obszarze musiały odegrać znaczną rolę w rozwoju osadnictwa tego terenu. Niektórzy badacze podnoszą znaczenie soli jako czynnika państwowo-twórczego. np. prof. dr Jan Dąbrowski. Badania archeologiczne potwierdzają, że np. rozwój osadnictwa na Kujawach, w okolicach Kołobrzegu czy Krakowa uwarunkowany był eks-

## Perspektywy dla maturzystów

Wyż demograficzny dociera już do bram wyższych uczelni. Zjawisko to znajduje potwierdzenie w wynikach ankiety przeprowadzonej wśród abiturientów wszystkich typów szkół średnich. Jak podaje Kazimierz Czyżyk, pracownik Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego („Głos Nauczycielski” nr 9) w ankiecie uczestniczyło blisko 174 tys. osób, z których 68.853 wyraziło chęć podjęcia studiów wyższych wobec niespełna 62 tys. w ubiegłym roku szkolnym. Natomiast Narodowy Plan Gospodarczy przewiduje, że na pierwsze lata studiów dziennych przyjętych będzie 34.400 osób. W ubr. liczba zgłoszeń przewyższała liczbę wolnych miejsc o 184,2 proc., obecnie zaś o 200,4 proc.

O przyjęciu na studia zamierza ubiegać się 57,1 procent abiturientów młodzieżowych liceów ogólnokształcących, 30,8 proc. z techników zawodowych, 17,4 proc. z liceów pedagogicznych oraz 9,2 proc. ze szkół średnich dla pracujących. Proporcje te są raczej prawidłowe; bazą rekrutacyjną dla wyższych uczelni są przede wszystkim licea ogólnokształcące. Warto przy okazji podkreślić rolę średniego szkolnictwa dla pracujących; wielu absolwentów tych szkół nie zamierza poprzestać na dyplomie maturalnym, ale czy potrafili oni konkurować z absolwentami szkół młodzieżowych, zważywszy, że o przyjęciu na studia decyduować będzie egzamin konkursowy.

Rezultaty ankiety nie przesądzą ostatecznej liczby kandydatów na studia. Podobnie jak i w latach ubiegłych, część z nich nie zgłosił się do egzaminów wstępnych, ale nie należy zapominać, że o przyjęciu ubiegać się będzie około 20 tysięcy absolwentów ubiegłorocznych, którzy z braku miejsc lub innych przyczyn nie podjęli wówczas studiów. W sumie, według szacunkowych obliczeń, przed komisjami egzaminacyjnymi stanie około 86 tysięcy kandydatów; na 1 wolne miejsce przypada więc 2,5 kandydata, podczas gdy w ubr. stosunek ten kształtował się jak 1:2,2.

Ankieta sygnalizuje nie tylko wzrastający tłok przed bramami wyższych uczelni. Ujawnia także, występujące zresztą i w latach ubiegłych, poważne dysproporcje między — jak to się zwykle mówi — zamierzeniami maturzystów a zapotrzebowaniem na specjalistów w poszczególnych dziedzinach. Rozpiętość zgłoszeń na poszczególne kierunki studiów waha się od ponad 3 kandydatów na 1 miejsce, do deficytu zgłoszeń.

Do kierunków studiów, które mają ponad 3 kandydatów na 1 miejsce należą m. in.:

- na uniwersytetach — filologia rosyjska oraz słowiańska, historia sztuki, psychologia, pedagogika, biologia, geografia, ekonomia polityczna, w politechnikach — architektura; w wyższych szkołach rolniczych — technologia rolno-spożywcza, mleczarstwo; w wyższych szkołach ekonomicznych — handel zagraniczny; wychowanie fizyczne w AWF.
- Od 2—3 kandydatów na 1 miejsce mają m. in.:
- na uniwersytetach — filologia angielska, germańska i orientalna, historia, socjologia, geologia, prawo; w szkołach technicznych — technologia chemiczna, elektronika (łączność), budownictwo lądowe; w wyższych szkołach rolniczych — leśnictwo, weterynaria; w wyższych szkołach ekonomicznych — ekonomika przemysłu, towaroznawstwo; w wyższych szkołach pedagogicznych — filologia polska i rosyjska, biologia, geografia; w akademiach medycznych — studia ogólnolekarskie.

Do mniej obłożonych wydziałów (1,5 do 2 kandydatów na 1 miejsce) należą m. in.: filologia polska i romańska, bibliotekoznawstwo, chemia oraz kierunki ekonomiczne na uniwersytetach; górnictwo, geologia, ceramika, elektronika, mechanika, budownictwo okrętowe oraz inżynieria sanitarna w uczelniach technicznych.

Od 1—1,5 kandydata na 1 miejsce mają m. in.: filozofia, matematyka i fizyka na uniwersytetach; metalurgia, włókiennictwo, mechanizacja rolnictwa, geodezja i kartografia w uczelniach technicznych, zootechnika, ekonomika rolnictwa, finanse i statystyka, ekonomika oraz stomatologia i farmacja.

Natomiast zgłoszenia poniżej limitu przyjęć wykazują:

- na uniwersytetach — filologia klasyczna, geofizyka; w politechnikach — odlewnictwo, chemia środków spożywczych, budownictwo wodne; w wyższych szkołach ekonomicznych — rachunkowość, gospodarka miejska, ekonomika rolnictwa, ekonomika budownictwa, ekonomika pracy i polityka społeczna; w wyższych szkołach pedagogicznych — fizyka, wychowanie techniczne; w wyższych szkołach artystycznych — studia muzyczne.

Najprawdopodobniej w wyniku zgłoszeń absolwentów z lat ubiegłych, dysproporcje te będą wyrównane. Ponadto część tegorocznych kandydatów zmieni jeszcze swoje plany i stanie do egzaminów wstępnych na wydziałach mniej obłożonych. Ilościowo plany naboru będą wykonane, ale dysproporcje te nie

### Setny numer „Nadodrza”

Ukazał się ostatnio jubileuszowy (setny) numer „Nadodrza”. Jest to dwutygodnik społeczny ukazujący się w Zielonej Górze jako organ Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Pismo skupia wokół siebie grupę literatów i działaczy kulturalnych zasłużonych dla rozwoju życia kulturalnego woj. zielonogórskiego i aktywności społecznej i kulturalnej Ziemi Zachodniej.

Pierwszy numer Nadodrza ukazał się w roku 1957 — jeszcze na prawach tygodnika. Później pismo wychodziło jako miesięcznik i dopiero w maju ub. roku ukazuje się jako dwutygodnik. W ciągu blisko 10-letniej historii Nadodrza poważnie wzrósł jego nakład i sięga obecnie 8 tys. egz. oraz skrytykował się profil i krąg zainteresowań periodyku. Dziś „jest to pismo społeczno-kulturalne o charakterze regionalnym, specjalizujące się w zakresie historii i współczesności regionu, jak również — co określa miejsce, w którym się ono ukazuje — w antyrewizjonizmie” — czytamy w artykule redakcyjnym.

Zyczymy z okazji 100 numeru zespołowi redakcyjnemu Nadodrza i gronu współpracowników powodzenia w ambitnych zamierzeniach oraz tak pożytecznej na Ziemiach Odzyskanych działalności.

Zespół „Widnokregu”

Roman Tupek

# IDZIE ŻOŁNIERZ BOREM LASEM...



## Motto:

O jaka też żytna kralno  
Jeśliby rodacy  
Co za ciebie gina  
Wzięli się do pracy...

## DO DOMU...

Przeładowany kilkakrotnie razy ponad ilość miejsc w wagonach pociąg stał przed dworcem w oczekiwaniu na sygnał zawiadawcy, z rozgłosnym sykami i trzaskami wyzwalający się wentylami bezpieczeństwa, nie zaprzęgnięte jeszcze do pracy, nagromadzone w kotle parowozu nadmierne ilości sprężonej pary. Z tyłu za stanowiskiem maszynistów, w wagonie tendrem zwanym, widniał dający nadzieję długiej, nieprzerwanej jazdy, pokazany stos szczap drzewa opałowego.

Nadzorowana przez wojskowe władze niemieckie kolej żelazna obsługiwana była przez tubylców, przebieg pociągów jednak dokonywał się w myśl rozkazów nadchodzących z góry z niemieckiej komendy wojennej. Pasażerowie posiadający w porządku osobisty jakiś dowód podróży bez biletu, nie niepokojeń o to głupestwo przez nikogo.

Świadomi tych spraw otrzymawszy informacje o kierunku biegu pociągu zajęliśmy w wagonie miejsca w sąsiedztwie podejrzanych nieco i niepewnie wyglądających obszarpanców, którymi jak okazało się później byli żołnierze oddziałów Korpusu Wojska Polskiego.

Było już daleko z południa, słońce chyliło się ku zachodowi, gdy po grzmiącym sygnale parowóz szarpnął, porwał za sobą sznur wagonów, poklekotał na zwrotnicach i wydostawszy się poza stację ruszył pędem, którego by mu wiatr hałny mógł pozazdrościć.

Pasażerowie odetchnęli z ulgą. Ożywiły się twarze, poweselały oczy. Zgnębione osobistymi jakimś troskami, milczące dotychczas towarzystwa jadących rozpoczęły próby cicho jeszcze i nieśmiało wypowiedzianych rozmówek, z niektórych przedziałów dały się słyszeć krótkie urwane wybuchy śmiechu nawet. Pociąg gnał.

Niedługo zmrok zapadł, oświetleń w wagonach nie było, nikt zresztą nie próbował sprawdzić czy są. Miła jest jazda i w półmroku, aby tylko w miejscu nie stać. Pociąg szybko sunął między dwiema wysokimi ścianami drzew starego boru, jak by w głębokim korytarzu. W pewnej chwili dał się słyszeć jeden, potem drugi, głośny świst syreny sygnałowej, poczym pociąg nasz zaczął zwalniać bieg, wreszcie zatrzymał się.

Poczynający drzemać już pasażerowie ocknęli się, okna i drzwi wypełniły się głowami ciekawych. Stać! ani śladu w najbliższej odległości, stoimy na przestrzeni w lesie.

Wychodzą z wagonów podróżni, kręcą się potoczą, pyta jeden drugiego o przyczynę zatrzymania sę, klną, inni modlą się z trwogą w przecuciu niemieckiej przyciętych. W pewnej chwili słychać zdenerwowanym głosem rzucone pytanie:

Dlaczego ten postój, dlaczego nie jedzie?

Czerwona lampa przed parowozem na torze — słychać nie bardzo wyjaśniającą odpowiedź.

— No tak, a co się stało?

— Nie wiadomo.

Po długotrwałym dopiero oczekiwaniu wróciło do pociągu kilku młodych ludzi, którzy ryzykując i narażając się na pozostawienie ich w wypadku, gdyby pociąg ruszył z miejsca, udali się daleko naprzód, jakby na rekonesans. Mówili, głośno udzielając informacji:

— Nie wiadomo kiedy pojedziemy.

Dlaczego? — pytano otaczając ich gromadą.

Pociąg przed nami stoi. Drzewo na jego parowozie skończyło się. Tam w lesie przygotowane jest dużo drzewa, żołnierze przy nim służą pełnią i drzewa brać nie zezwalają.

Sprawa była wielce kłopotliwa. Maszyniście parowozu stojącego przed nami drzewo skończyło się i nim to że o sto metrów od toru stały całe szeregi sagów lupanego drzewa, biwakujący tam oddział uzbrojonych żołnierzy brać go i na parowóz nosić nie zezwalał...

— Nie trań, a to strelać budiem — grozili.

Cóż było robić, pasażerowie obydwu już teraz pociągów utworzyli coś w rodzaju sejmu, po którego naradzie opodatkowano wszystkich podróżnych w kwocie kto ile może i chce, aby zebrały kapitał złożony na ręce dowódcy patrolu pilnującego drzewa celem zmniejszenia jego zatwardziałości serca i otrzymania zezwolenia na przydział kilku stosów szczap dla unieruchomionego parowozu. Suma, jaką zdeklarowano złożyła mogła przewrócić w głowie najbardziej zachłannemu skąpcowi. Tych niewiele jadących na gapę bez grosza, między innymi i mnie wytopowano na parlamentaryszki. Należało przecieżyć komuś z żołnierzami Bóg święty wie jakiej armii układać się, wręczyć pieniądze i zezwolenie na pobieranie drzewa wytargować. Było to bardziej może ryzykowne zadanie aniżeli wydatek pewnej kwoty papierowych rubli. Łatwo można było i pieniądze pozbyć się i drzewa nie otrzymać, w dodatku i samemu ca-

łemu i zdrowo nie wrócić z powrotem. Poszliśmy w sześciu z propozycją, bez pieniędzy na ramię.

Przyjmujący delegację dowódca oddziału ubrany był tak wspaniale, że choć ty człowieku ręce załam i o oczach pamiętaj, aby ci z głowy nie wylazły z podziwu. Szerokie spodnie w kolorowe pasy wpuszczone były w wysokie buty z cholewami z miękkiej czerwonej skóry. Baranekowa czapka, której dno czerwone w złote paski zwiślało do połowy otoku nasadzona na bakier dlateo zapewne, aby bujny i strojny czub kruczych, kędzierzawych nad czołem włosów mógł sobie na wietrze powiewać, co nie tylko dodawało fantazji, ale i grozę budziło. Na obcisłej kozackiej formy czamarze naszpikowanej na piersiach wielką ilością ozdobnych naboń narzuconą miał na ramiona grubą, ciemną delję, czy jak to się tam po kozacku nazywa, bo dowódca ani chybi był pewnie kozakiem. Wskazywało na to uzbrojenie, którego była i mnogość, i różnorodność. Poza krzywą szablą miał za pasem kindżałów dwa, w dużej jak sakwojazy kaburze rewolwer nie miniaturowy z pewnością, z tyłu oparty o ściankę stał kawaleryjski karabin.

Komendant przyjął nas w dużym, skleconym na poczekaniu szałarje. Na stole paliło się kilka grubych, podobnych do cerkiewnych świec. Jakkolwiek rumiana z czarnym zalotnym wąsikiem twarz tego człowieka uchodziła mogłaby za piękną, zaufania jednak nie wzbudzała do siebie zbyt wielkiego. Delegatów przyjął siedząc, oczy patrzyły sztyrderczo, spoza półotwartych ust, jak u wilka błyskały białe zęby. Pod ścianami siedziało kilkunastu też jak na wielką uroczystość naro-

downą przybranych, zbrojnych po zęby ludzi. Dowódca spojrzął, policzył oczami przybyłych i twardym, buńczuczym głosem zapytał:

— Kto wy i za czym?

Wysunął się spomiedzy nas skromnie ubrany człowiek i w języku tutejszych spraw przedstawił zaczął głosem jak najbardziej pokornym, o litość nad czekającymi w pociągu na dalszą podróż dziećmi, kobietami i chorymi, i przydział drzewa za opłatą usilnie prosząc.

— Niet. Dzienięg nie waznu i drow nie dam — odpowiedział, hardo podnosząc głowę.

— Jakże to?

— A tak. Ja raz skazał — rzucił mocniej jeszcze.

Staliśmy skonsternowani. To już całkiem coś nowego: w Rosji, gdzie za pomocą kubana i łapówki zbawienie duszy można było otrzymać, ten tu kozak jakiś rogaty, za taką wielką sumę ofiarowaną mu zola bez starań z jego strony, drzewa z państwowego lasu dać nie chce? Wysunięty z grona delegacji dyplomata nie dał jednak za wygrana, na własną odpowiedzialność podniósł jeszcze tę sumę próbując.

— Ja raz skazał, dzienięg nie chcę i drow nie dam — ostrzej jeszcze odpowiedział komendant placówki.

— Jak długo stojat budiem w etom lesu? — rzucił pytanie ktoś drugi z delegacji.

Komendant posunął czapkę na głowie bardziej jeszcze na bakier, wargi wyduł i jak gotujący się do skoku koń wargami prychnąwszy, rzekł jakby od niechcenia:

Poka batko nie projediet.

— Kajok batko? — pytamy nie rozumiejąc.

— Anu, nasz batko ataman — odpowiedział dowódca warty przy drzewie.

Któryż by tam ataman znowu, do czortowej materii — zatopiła się w myślach delegacja, a jeden spytał:

— Nieużeli sam Skoropadski ili Petlura prijediet drowa brat rozryszat?

— Kajok tam Skoropadski, Petlura — my zdień naszego atamana imiejem i drugih nie uznajem.

— Znaczyt wy nasz, bolszewiki — spróbował podchlebić się słowa-

mi z innej beczki przedstawiciel delegacji.

— Ale dowódca warty jakby się wściekł. Zerwał się ze swego siedzenia i grożąc ręką wyrzucał z siebie pełne jadu i najbrudniejszych przekleństw wyrazy i pogroźki przeciw bolszewikom właśnie:

— Bolszewiki! kacapy moskowskoje mat jejich... takaja. Jejich atamany to durnyje żopy, my jejich wsiach wyreżem. A wy — zwrócił się do nas — udierajcie od suda poka wrem'a i ja niczewo nowego nie zadumał. Prijediet batko, da't wam drow darom jeśli schozczet, nie schozczet — nie dast. To jego dzieło nie moja.

Tłumaczenie było jasne, odmowa sprzedaży drzewa wyraźna i stanowcza. Urodziwy i wystrojony jak na cesarską paradę kozak był nie przekupny. Ale dlaczego?

Pospuszczaliśmy głowy w ukłonach i wyszli z szałasów bardzo zaniepokojeni. Wzdłuż wagonów kręcili się zmartwieni podróżni oczekując powrotu delegacji, wyniku przeprowadzonych rozmów i załatwienia. Każdy deklarujący pewną kwotę, trzymał ją już w pogotowiu. Załatwił sprawę przed zapadnięciem głębokiej nocy spieszyło się każdemu. Aby tylko z tego lasu się wydostać. Fiasko podjętej przez delegatów misji zastanowiło i przestraszyło podróżnych bardziej jeszcze.

— Ejże. Pieniędzy nie chcę i drzewa brać nie pozwolają, coś się tu kryje za tą sprawą, a może i knuje — komentowano wśród wielkiego poruszenia. Wszyscy byli strwożeni do ostatnich granic. Biegano wzdłuż pociągu coraz szybciej, rozmawiano coraz głośniej. Po niejakiem czasie genialna myśl wpadła jednemu z pasażerów do głowy. Wszakże na

parowozie naszego pociągu panoszył się najbezpieczniej pokażny stos drzewa. Czemuż by zatem nie prznieść na parowóz stojącego przed nami pociągu choćby połowy tego zapasu. Niechby pociąg i jeden, i drugi ruszył z miejsca i z lasu tego wydobyl się przynajmniej. Niektórzy podróżni aż w brodzie sobie pluili, że dotąd tak prosta myśl nie przyszła im do głowy. — A to ci dopiero z nas głupcy — powtarzali z przyjemnością chowając ruble do kieszeni.

Ma zynista naszego pociągu nudił się i chciał też wyjechać stąd jak najprędzej. Na oddanie swemu koleźce z parowozu stojącego przed nami pewnej części paliwa zgodził się chętnie i sam szczapy zwał na ziemię zaczął. Kto żył ustawiał się w kolejce, ażeby transportowanie szczap szło jak najszybciej. Radość i nadzieja na wyjazd dodawały siłę i ochotę do pracy.

Robota ruzyła sprawnie i zwało. Wzdłuż obydwu stojących pociągów na całej przestrzeni rozbrzmiały wesole głosy dopingujące i podbiedzające do szybszego podawania szczap zbyt opieszalych.

— Anu tam, skarej podawaj drowa zemlak (ano tam, szybciej podawaj drzewo obywatelu) — niosły się gdzieś tam od zola stojącego na przedzie pociągu głosy.

Praca ta nie trwała zbyt długo. Po przetransportowaniu kilkunastu szczap, dalszy odbiór tychże został raetem zahamowany. Gwar jakiś podniósł się na przodzie. Nie mogąc podać dalej, trzymający szczapy opuścili je na ziemię i wsparli na nich niby na zbójckich maczugach trwali tak wsłuchując się w coraz bardziej rosnący gwar będących na przedzie ludzi. Po niedługiej chwili sprawa zaczęła się wyjaśniać, a raczej powiedzieć można by — zaciemniać. Ktoś biegł wzdłuż pociągów bez przerwy krzycząc ochrypiłym ze zdenerwowania głosem:

— Brosajem rabotu, karaulni przszli (rzucamy robotę, żołnierze przszli).

— Nu da, i czto takoje? (no i coż takiego?) — pytano.

— Nie rozryszajot taszczyć drow na maszynu (nie zezwalają nosić drzewa na pierwszą maszynę).

— Jakże to, nie słyszycie naszej mowy? Polacysmy.

— Ba, Polacy. Wiele tu takich Polaków grasuje, co by swego rodaka ze skóry obdarli i aniby sę skrzywili — odpowiadał.

Rozśmieszyla mnie ta odpowiedź, toteż nie czekając, zareplikowałem z miejsca.

— Może kolego i wyglądamy na zbójów, ale na was też nie świeci się złoto. Obawy jednak obędzenia nas w drodze ze skóry wyglądają tu na drwinę. Jest was kilka razy więcej przecie i nam to należałoby urządzić się ze strachu, nie wam. My jednak nie boimy się w myśl przysłowia „goly obdarca się nie boi”. A bądźcie chcielibyśmy z wami, zważywszy, że śmieję w większej gromadzie, a ponadto wyglądacie na niespokojnych tych stron. Zdradza was niespotykana u nas miękkość wymowy.

— No, nie ma nad czym dyskutować — rzucił nagle dowódca. Przyjmujemy was do naszej grupy, skoro jednak nie wstydzicie się waszego pochodzenia powiedzcie coście za jedni?

— Ależ my Polacy z Galicji, jeńcy austriaccy, wracający z niewoli rosyjskiej — tłumaczmy.

— Ach, jeńcy — zachnął się starszy z grupy — po co wam z nami się łączyć? Was wszędzie puszcza wolno, zwłaszcza, gdy macie dokumenty jeńckie po rosyjsku pisane. Bz nami niebezpiecznie, biją nas białogwardziści, tłuką bolszewicy, gdy im sę spodoba widzieć w nas wrogów, a najgorzej te różne atamany, co to żadnej prócz siebie władzy nie uznając, po lasach i jarach ze swymi watahami ukryci siedzą, coraz to inną wyprawę w celach rabunku urządzają, z których na Żydów i Łachów wydają im się najbardziej korzystne i ryzyka godne.

Zatrzymał się szukając na naszych twarzach wrażenia, jakie spodziewał się tym przemówieniem w nas wywołać. Po chwili machnął z determinacją ręką:

— Chodźcie — rzekł — idziemy razem, czas nagli. Wagon obydwu pociągów wydłudnił się już. Pozostali bezimienne baby, których jedynym majątkiem są dzieci, orientacja polityczna nijaka, idea zaś „tam chcę żyć, tam moja ojczyzna najukochańsza, gdzie pracy nie brak i chleba pod dostatkiem”. Nie mając nie do stracenia nie potrzebują uchodzić. Pociągi te stać tu nie będą wiecznie.

Zeszliśmy z wagonów, uformowali w dwójki i zagłębili w objętym, gestym, czarnym mrokiem lesie. Wyszorowani na czoło oddziału jakiś znawca tych okolic i leśnik chyba z zawodu prowadził znanymi mu najwidoczniej w tym lesie ścieżynami.

(Fragmenty powieści „Idzie żołnierz borem lasem” przygotowywanej do druku).



Rys. J. SIENKIEWICZ

— Po czemu? Wiet drowa nie z lesu (dlaczego? Przecież drzewo nie z lasu) — rozlegały się zewsząd pełne troski, to znowu oburzenia głosy.

— Idi sam jetych mat jejich sobaka była, żołdatów sprosić (idź sam tych mać ich psia żołnierzy spytać) — padła pełna rozpacz odpowiedzi.

Wesołe i głośnie dotychczasowe pogaduszki ustąpiły miejsca cichym tajemniczym szeptom. Przepelnionym trwogą głosem komentowano zakaz prznozenia z parowozu na parowóz paliwa, każdy na swój, wszystkim jednak wiadomy sposób. Tajemnica zanadto grubymi niemi była szyta, aby jej nie pojąć. Szły od naradzających się ciężkie wzdychania, pochlipywania nosem, pojękiwania i szlochy.

— Wot tiebia mirnaja put (ot ci spokojna jazda) — złorzecząc półgłosem na wół z płaczem mówiła krzenka żonyżna niewiasta: Matie-ry Boża i czto nam dielat tieper noczu zdień w etom strasznom lesu (Matko Boska i co nam robić trzeba teraz wśród nocy, tu w tym strasznym lesie?)

— Kazytsia tiotka, uddierat' najluczsze, poka spakojno i nikt nie trogajet (zdaje się ciciu uciekać będzie najlepiej, póki spokojnie jeszcze i nikt nie zaczepia) — poddała zbawienną myśl któraś ze zdecydowanych już co czynić, młodszych pażerek.

Oceń ładno skazała — „udzielat” można, a u kawo rebionki jest, wieszczy: nie zabierot wiet. Ostawić żalko, (Bardzo ładnie powiedziała — „uciekać” można, a kto z dziećmi z rzeszami? Nie zabierze się przecie. A zostawie szkoda).

CECYLIA BŁOŃSKA

# PŁACZ W CIENIU SAMOTNEGO DRZEWA

„Tylko to drzewo przetrwało. Tylko ono z wiosną, zgodnie z odwiecznym prawem natury zieleniło się koroną liści, a nieczego nieświadome ptaki kryły się w jego cieniu, wywołując radosne trele. Poprzez okienka okratowanych cel patrzyli na nie więźniowie Pawiaka; było ich kalendarzem, znaczący pory roku, stanowiło punkt wytchnienia, znak trwania nieomal, który pozostał, gdy ich już zabraknie.

Jakże dramatycznie brzmiał apel poległych, odbijający się od masywnych murów więzienia podczas niedawnych uroczystości otwarcia muzeum na Pawiaku. Wzywano najlepszych synów ojczyzny, wołano starsców i młodzież w pełni sił, bojowniczkę i ciche ofiarne matki, które tutaj dokonały swych dni, do ostatniego tchnienia myśląc o swych walczących synach, gdy przywoływano ofiary najtragiczniejsze — pomordowane dzieci.

Wśród dokumentów poświęconych temu rozdziałowi okupacyjnej walki i martyrologii, obok pamiętników więźniów, lekarzy, ukazała się ostatnio książka Adama Grzymały — Siedleckiego „Sto jedenaste dni letargu”. Autor, który niedawno obchodził swoje 90-lecie, już wówczas jako człowiek sędziwy, aresztowany został 11 listopada 1942 roku i był

więziony przez 111 dni. (Swoją pamiętnik z Pawiaka napisał w Białanach Grójeckich, podczas powstania warszawskiego, w sierpniu i wrześniu 1944 r.).

Na Pawiaku znalazł się wraz z grupą Polaków pojmanych przez gestapo w obawie przed ewentualnymi manifestacjami, jakich spodziewał się okupant w związku z dniem 11 listopada.

O swych własnych przeżyciach, lekach, smutkach, niezliczonych cierpieniach w dniach letargu, Grzymała — Siedlecki pisze z ogromną powściągliwością. Miara okrutnych doświadczeń, jakim poddano go podczas badań w Alei Szucha jest wzięte stwierdzenie, że po jękach katowanych rozlegających się w ponurym gmachu, po sadystycznych chwytach oprawców prowadzących owe „przesłuchania”, jak zbawczy dom rodzinny wydaje się później szpitalna cela na Pawiaku z całym zaduchem, nędzą i poniżeniem.

Pamiętnik, obejmujący 218 stron druku, przede wszystkim poświęcony jest więźniom, którzy wraz z autorem dzielili tragiczny los. Widać, że zapis wyszedł spod pióra literata, w wytrawnym piarstwie łączącego rozległe spojrzenie autora dramatycznego z refleksją i znakomitą pamięcią publicys-

ty. Wymieniając, z galanterią nieco staroświecką, pełne tytuły naukowe, zawodowe, precyzyjnie umieszcza w społeczności przedwojennej i okupowanej Warszawy dziesiątki współtowarzyszy niedoli. Od chwili pojmania i przewiezienia na Pawiak, profesorowie uniwersytetów, lekarze o znanych nazwiskach, literaci, a wraz z nimi wybitni przedstawiciele administracji państwowej, oświaty, przemysłowcy i rzemieślnicy, komuniści i partyzanci, starcy, którym nie dane dokonać żywota we własnym domu, Żydzi traktowani są z jednakową bezwzględnością brutalnością, nękaną, gnębieni, dziesiątkowani. Wielu z nich idzie pod ścianę egzekucyjną, nieświadomi o co zostali posądzeni, jakich przewinień dopatryli się u nich okupant.

Są w książce krzepiące momenty, gdy zwierzęcemu okrucieństwu okupanta Siedlecki przeciwstawia hart Polaków, gdy przypomina sytuacje, w których więźniowie ofiarne ratując jedni drugich, niezmiennie z narażeniem własnego życia, dawali dowody solidarności, humanitaryzmu, wysokiej kultury, nie pozwalając, by unicestwiony został cały dorobek narodu.

Było więcej takich, jak wybitny naukowiec rektor Michałowicz, w obliczu niechybnej śmierci z niezłomnym spokojem kontynuujący swoją naukową rozprawę o sposobach leczenia dzieci. Może pchnął go do tego widok młodzieńczego chłopca — współwięźnia, przywleczzonego na Pawiak i skazanego na zagładę za wypisanie na murze słowa: „J e s z c z e P o l s k a n i e z g i n ę ł a”. W to, że nie zginie wierzyli męczennicy Pawiaka, składając oczywiście najwyższą ofiarę — własne życie.

Niemalą wagą są ogólniejszej natury dywagacje i spostrzeżenia autora odnośnie Niemców, morderczego, bez przenośni, wpływu, jaki wywarła doktryna Hitlera. Wśród tej zdegenerowanej zbiorowości Grzymała — Siedlecki dostrzega ludzi zdolnych do odruchów człowieczeństwa — tłumaczkę Fraulein Ilse czy chwilami nawet więziennego strażnika, nieszczonego renegata, którego pisarz więcej współczuje niż go potępia.

Pamiętnik Grzymały — Siedleckiego pozostanie jako wstrząsające oskarżenie lat i dni, z których każdy z letargu wiódł prosto ku śmierci.

Nad dokumentami o Pawiaku, ludzkości nie wolno będzie przejść obojętnie i wtedy gdy czas ukończy płacz w cieniu samotnego, więziennego drzewa — cmentarnego pomnika.

Adam Grzymała — Siedlecki „Sto jedenaste dni letargu”. Wydawnictwo Literackie, Kraków, str. 219, cena 18 zł.



Batalię o oryginalne pozycje telewizyjne rozpoczął bezapelacyjnie „Kabaret Starszych Panów” i do tej pory stanowi niedościgny wzór znakomitej rozrywki, w której inteligentna twórczość, ich specyficzną dowcip grają kapitalną rolę. Narodziła się ta audycja, tak nieczęsto goszcząca na małym ekranie, z melanzu teatru i kabaretu, przy tym tak doskonale i z taką konsekwencją stopiła w sobie te dwa gatunki, że będąc niedoścignym wzorem, jak to już napisałam, jednocześnie wzbrania naśladownictwa.

Obok niej, postawiłabym tak popularny niegdyś cykl „Poznajmy się”, który, choć oparty o bardzo rozpowszechnione na Zachodzie programy tzw. shows, a więc na pewno daleki oryginalności, a bliższy imitacji, powiększał skąpą dawkę rozrywki inteligentnej. „Poznajmy się” zginęło w trakcie różnych mniej czy bardziej osobistych targów między jego trzema twórcami — Kobiłą, Fedorowiczem i Gruzą, choć ten ostatni próbował dać jego namiastkę nowym cyklem „Spóźnieni przedchodnie”, bardziej może oryginalnym, własnym, niemniej od początku nieudanym. W ten sposób powstała pustka absolutna, tym bardziej że Starsi Panowie protestują przeciw kontynuacji swego kabaretu z oczywistych względów, z których najważniejszy tkwi w obawie przed naśladownictwem czy plagiatem siebie samych.

Piszę o tych urodziny programach, tak dobrze zapisanych w pamięci widzów przede wszystkim po to, by tym większą wagę zwrócić na inicjatywę podjętą na nowo przez Kazimierza Rudzkiego i jego „Wieczory przy kominku” — z których ostatni oglądaliśmy w niedzielę. Świetna audycja!

Aranżuje ją Rudzki z talentem urodzonego gawędziarza, inteligentnego aktora i wielkiej indywidualności telewizyjnej; aranżuje ją z maksimum swobody, wdzięku i humoru. Ocala cieniutki dowcip rodem z najlepszych kabaretów, prezentuje najznakomitszych aktorów, podsuwa najciekawsze tematy. Jego miejsce przy kominku jest azylem inteligencji, oazą na obszarze miłych programików rozrywkowych.

Ostatnią gawędą z Holoubkiem i Szczepkowskim, którą możnaby opatrzeć tytułem „o obowiązku wobec swego języka” przyniosła pewne novum: wśród aktorów znalazł się profesor uniwersytetu i to o nazwisku, którego prezentować nie ma potrzeby — mówię o prof. Doroszewskim.

Panowie gawędzili o rygorach językowych, przypomnieli rozpowszechnioną zasadę niezwracania w dyskusjach uwagi na wypowiedź poprzednika, a wszystko rozpoczął zabawnym wyznaniem Szczepkowskiego: „jest nas troje”...

Na szczęście od błędów się nie troiło, o co świetny aktor miał wielkie obawy, gawęda była wzorem zdyscyplinowania, a dowcipny wywiad, jakiego udzielał Holoubek wespół ze Szczepkowskim — kwintesencja koszmarów telewizyjnych. Słowem — uczestniczyliśmy w inteligentnej zabawie, odnieśliśmy niemający pożytek i byliśmy świadkami narodzin prezentera z prawdziwego zdarzenia — Kazimierza Rudzkiego. Oby tylko nie trzeba było czekać co najmniej parę miesięcy na następne „Przy kominku”...

Tak jakoś się dzieje, że to co przygotowuje dla nas w telewizji Grzegorz Lasota, jest zawsze warte oglądania, przyrządzone z nerwem i reprezentuje wybór nowinek kulturalnych, rzeczywiście najciekawszych i najwartościowszych. Ostatni „Pegaz” przyniósł fragment teatralny „Kamiennego świata” Tadeusza Borowskiego — „nadziei literatury polskiej, zmarłej przed 15 laty”, dowcipny i nieco zjadliwy komentarz do wystawy plastycznej Rosłowski i Ryszka, którą „publiczność chłonie z zapalem i to jest dobre, ale przy tym nic nie rozumie — i to już nie jest najlepiej”, sprawozdanie z „Nocy generalno” — amerykańskiego filmu kręconego w Warszawie, w czasie którego pewien starszy pan — zamieszany przypadkiem w okupacyjną łapankę omal nie przyplacił jej atakiem serca, tak była autentyczna... (Warto dodać, że Anatol Litwak jest pierwszym reżyserem zagranicznym, który zaproponował Polsce kooperację w postaci przygotowania dekoracji, sprzętu, rekwizytów tak bardzo optymalną i rozpowszechnioną w innych krajach — dewizy!). Poza tym piękna Lollobrigida ze smutkiem i rozumą mówiła o swej gasnącej karierze Ewie Krasnodębskiej w Paryżu.

A teraz już w ogromnym skrócie przypomnę młodzieżowy klub „Po szóstej” (coraz lepszy!), gdzie prof. Kozakiewicz rozmawiał z przyszłym mikrobiologiem o studiach i wyborze zawodu, stwierdzając przy tym, że 15 proc. młodzieży zaledwie jest z tego wyboru zadowolonych w trakcie nauki uniwersyteckiej, gdyż ciągle jeszcze nie wie wiadomo maturzystom, czym są konkretne kierunki studiów (może propozycja dla wszechkierownicy telewizyjnej, by pokazać w długofalowym, zwartym cyklu zajęcia na wyższych uczelniach?), przypomnę dwa teatry, które zaprezentowały solidną klasykę: Musseta i Moliera, a w tym ostatnim błyszczał tartuffowską obłudą Jan Swiderski oraz sympatyczną parę — Marylę Rewiejską i Mieczysława Pawlikowskiego, którzy we wtorek przygotowali Paniom z racji ich święta przemiał audycję.

W sumie — nie był to najgorszy tydzień...

KRYSTYNA

P. S. Jeszcze raz wracam do klubu „Po szóstej”, gdzie Jan Pietrzak ze „Stodoty” odczytał rozpaczliwy list młodzieży z Tarnobrzega, które:

- a) nie wolno siedzieć w kawiarni,
- b) nauczyciele niechętnie patrzą na jej spaceru po ulicach,
- c) do „Tapiasy” jej nie wpuszczają,
- d) do kina ze zrozumiałych względów codziennie chodzić nie może.

Pytanie: co ma robić z wolnym popołudniem?

Odpowiedź: po skończonej nauce z obowiązku, zacząć uczyć się dla przyjemności!

K.

## Zobowiązania bibliotekarzy w Dębicy

Z okazji 20 rocznicy wydania dekretu o bibliotekach w Polsce Ludowej bibliotekarze powiatu dębickiego podjęli szereg wartościowych zobowiązań. W dziedzinie upowszechnienia czytelnictwa postanowiono m. in. zwiększyć ilość czytelników o 1800 w stosunku do ubiegłego roku oraz zwiększyć o 25 000 ilość wypożyczeń w bibliotekach powiatu.

W zakresie rozwoju sieci bibliotecznej zobowiązanie uwzględniła także zadania jak zorganizowanie dwu nowych bibliotek wiejskich i czterech nowych czytelni oraz 10 punktów bibliotecznych w oparciu o Kluby Książki i Prasy „Ruch”; opracowanie kartoteki zagadnieńowej o tematyce Tysiąclecia Państwa Polskiego, zaprowadzenie kronik bibliotecznych dla wszystkich placówek.

W dziedzinie działalności kulturalno-oświatowej bibliotekarze m. in. ich wykonaniem.

zobowiązali się zorganizować 150 odczytów na temat Tysiąclecia, 10 spotkań autorskich z autorami powieści historycznych, 8 wycieczek do miast związanych z historią kraju. W zobowiązaniach mówi się również o zorganizowaniu specjalnego Uniwersytetu Powszechnego, który będzie popularyzował wyłącznie problematykę Tysiąclecia oraz o wyprodukowaniu przez amatorski zespół filmowy przy PIMBP dwu filmów z życia kulturalnego powiatu dębickiego. Jak wynika z tego niepełnego wyczerpania podjętych zobowiązań — mają one bardzo konkretny i twórczy charakter. Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Dębicy wezwwała równocześnie za pośrednictwem Biblioteki Wojewódzkiej wszystkie placówki biblioteczne woj. rzeszowskiego do współzawodnictwa w podejmowaniu zobowiązań i w pracy nad G.

## NOWE KSIĄŻKI

**NAJWIĘKSZA POWIEŚĆ POLSKIEGO ROMANTYZMU**  
Tak nazywają tę frapującą książkę autor wstępu do niej i edytor Jan Kott. Jest to zadziwiający romans epistolarny, z tym iż jego bohaterowie są prawdziwymi postaciami historycznymi, a osnowę romansu stanowią autentyczne listy miłosne. Mam na myśli bowiem wybór stu listów Zygmunta Krasieńskiego do Delfiny Potockiej, czyli dwu postaci stanowiących kwintesencję romantycznego stylu w Polsce. Korespondencja między nimi trwała długo, dłużej niż ten wyjątkowo przewlekły i burzliwy romans, bo z górą 10 lat. W listach swoich zawarł jednak Krasieński nie tylko analizę swoich uczuć i dziennik swych przeżyć psychicznych. Jest w nich wszystko — podróże, wydarzenia polityczne, rozważania o gieldzie, traktaty filozoficzne, katastrofizm i lek przed czasem. Jest dużo szczeroci do ekshibicjonizmu posuniętej, rozkładania się nad swym losem i balzakowskich obserwacji z życia arystokracji. W tym zbiorze listów sprawdza się, iż Krasieński jest największym epistolografem epoki i dla dzisiejszego czytelnika przede wszystkim autorem genialnych listów, a później dopiero twórcą Nieboskiej Komedii i Irydiona. Po ogłoszonym w roku 1963 przez prof. Stanisława Pigonia zbiorze listów poety do ojca „Sto listów do Delfiny” stanowią drugą w Polsce Ludowej edycję korespondencji Krasieńskiego. Staranna i estetyczna szata graficzna, hołubi zestaw starzych szychów i portretów oraz

rozbudowany dział przypisów wydawcy podnosi atrakcyjność książki. Przewidujemy, iż będzie to best-seller czytelniczy sezonu.

### PSYCHOLOGIA I OKUPACJA

Ryszard Kłysz młody prozak krakowski ulega w swej twórczości zafascynowaniu tematyką okupacji na. Traktuje ją jednak w sposób niebanalny. Szuka motywacji psychologicznej dla postępowania swych bohaterów, usiłuje na tle wydarzeń wojennych ukazać skomplikowaną problematykę etyczną i moralną tamtych czasów. Ostatnio Wydziałstwo Literackie w Krakowie wznowiło jedną z najciekawszych powieści tego autora pt. „Kakadu” z roku 1961. Bohater utworu młody konspirator przewożący w podlegu broń spotyka na swej drodze oficera Wehrmachtu, który swoim postępowaniem burzy ustalone nakazy i pojęcia o walce i wrogu w umyśle Polaka. Od tej chwili konspirator zaczyna szukać siebie samego, analizować motywy swego działania, poddawać je logicznym i moralnym racjom, by dojść wreszcie do wniosku, iż podstawą egzystencji człowieka w każdym czasie jest walka o zachowanie godności ludzkiej i wierności sobie. Pisarz potrafił suwawie i przekonująco ukazać rozterkę swego bohatera i wyjść w powieści poza tradycyjną heroikę partyzancką. Zygmunt Krasieński — Sto listów do Delfiny — Czytelnik 1964. Ryszard Kłysz — Kakadu — Wydawnictwo Literackie — Kraków 1965. Wyd. II.



Fot. M. KOPEĆ



# Humor z notatek konferencyjnych

Neocentony Przekrój (uwaga — mówimy o nim dobrze) w rubryce „humor zeszytów szkolnych” demaskuje i obnaża nieporadności językowe, naiwności myślowe i błędy w logicznym rozumowaniu u młodzieży szkolnej. Coś się tam uczniom poplątało, coś się niepotrzebnie z innym pojęciem skojarzyło, w pośpiechu wytknęło nadmierne uproszczenie i już czytelnicy błyskotliwego Przekroju mają swój kącik humoru na cały tydzień. Mnie wprawdzie częściej ta zabawa przypomina zniechęcenie nad niewiniątkami, bo najczęściej winni są tu nauczyciele, którzy skrupulatnie wyświadczyli w zadaniach takie potknięcia swych wychowanków i wysyłała do redakcji dowcipnie redagowanego Przekroju — ale to kwestia poczucia humoru.

„Dookoła świata” i „Szpilki” bawią nas i uczą innymi nieporadnościami i figielkami językowo-składniowymi. Drukują w statych rubrykach fragmenty autentycznych zażaleń, podań, listów i odwołań ludzi walczących o jakies tam swoje sprawy z zakładami pracy lub władzami, lub też przytaczają fragmenty ogłoszeń lub rozporządzeń ze szczebla bardzo gromadzkiego. Istotnie w Polsce gromadzkiej pisze się czasem bardzo śmiesznie i bieżąca satyra tu nie zaszkodzi. Jeśli ktoś nie umie dobrze pisać, niech nie zwraca głowy urzędowi i instytucjom swoimi prywatnymi sprawami.

Natomiast prawie nikt nie zajął się potworkami językowymi, które tworzą na konferencjach i naradach oficjalni mówcy, wybitni fachowcy z różnych dziedzin naszego życia. Czasem tylko zaprotestuje jakiś językoznawca w piśmie specjalistycznym, skrzywi się polonista, zadziwi człowieka niewtajemniczonego i na tym koniec. A przecież, to co się mówi w referatach i dyskusjach na wysokich nierzadko stołkach stanowi istotną kopalnię humoru — prawda, że humoru czarnego, trudno bowiem się szczerze cieszyć tak skutecznym zaśmiecaniem ojczyźnego języka. Czy nie warto więc, by któreś z naszych pism podjęło się prowadzenia stałej rubryki — „humor konferencyjny”? Skoro pomysłowy (4 raz dobrze o nim) Przekrój prowadził kiedyś kącik rysunków konferencyjnych?...

Bo to zwykle tak się dzieje, że ktoś tam na naradzie nieopatrznie użył dziwnego nowotworu, który miał być wyrazem wysokiego wtajemniczenia w problemy branżowe. Nowotwór, czy jak kto woli neologizm językowy, był równocześnie na tyle niejasny, by nikt nie wiedział dokładnie o co chodzi i by zawsze można było się wycofać. Bo jak tu łapać za słówka, które budzą pełen podziwu lek swoją tajemniczością. Np. „substancja mieszkaniowa”. Wiadomo, że termin substancja może wiele rzeczy oznaczać (ciało fizyczne — jak powietrze czy woda; ducha w ujęciu filozofii idealistycznej, materię, która jest w ruchu i wciąż się zmienia w pojęciu filozofii materialistycznej i sporo innych rzeczy). A jeżeli oznacza wiele, to w gruncie rzeczy nie oznacza nic. Albo takie zdanie — „czuć nad właściwym zasortowaniem sieci w asortyment”... albo „transport samochodowy dokonuje wielokrotnie zwiększonych ilości przetrzutów produktów” (prawdopodobnie po polsku to znaczy, że samochody więcej dowożą produktów).

Nie wiem do dziś co znaczy „zagadnienie ucłunkowienia w naszej

organizacji”, i gdyby to nie była poważna organizacja, obawiałbym się, że to coś nieprzyzwoitego.

Słyszałem niedawno, że w budownictwie istnieje również problem „przedrzwienia”. Zdaje się, że chodzi o dom, w którym jest za dużo drzwi. Oczywiście, iż zgodnie z nowym duchem języka postuluje się na konferencjach zamiast pralni — salon pralniczy, a zamiast punktu naprawy parasoli — usługi parasolnicze. Hotel dla maszynistów kolejowych nazywa się noclegownią drużyn parowozowych — wszystko po to, aby było trudniej zgadnąć. Pewien fachowiec wyjaśniał nam ostatnio, iż ważną cechą urządzeń produkowanych na eksport jest ich „naprawialność”.

Cytować można dłużej tylko po co? Nie jest to jednak zbyt zabawne, zwłaszcza jeśli zważymy, że każdy taki wynaturzony termin jest natychmiast upowszechniany przez uczestników konferencji w swoich środowiskach. Jest przecież dowodem wyższego wtajemniczenia i budzi podziw maluczkich. Więc może zamiast wyszydzać dzieci, będziemy bawić się w wyszydzenie dorosłych? Dziecko na takie pomysły nigdy by nie wpadło. Jeśli sypie piaskiem w oczy, to bezpośrednio nie za pomocą fraszów. Kto podejmie się prowadzenia rubryki humoru z sal konferencyjnych?

Jotgiel



ROMAN KONIECZKOWSKI — aktor teatru „Meluzyna” w Rzeszowie. RYS. JERZY SIENKIEWICZ

## Opowiadanie folklorystyczne

### CZERMNA

To od rzeczki, która płynie przez wieś, została ona ochrzczona. Ta rzeczka się nazywała kiedyś Czarna, później ludzie ją na Czerma zamienili. Wieś ciągnie się blisko rzeczki przez pagórkowatą okolicę otoczoną mieszanymi lasami. Ponad wsią wznosi się góra, w której śnią śpiący rycerze. Leżą tam w pięknej pieczarze za kutą, żelazną bramą, a zbudzą się i powstaną, kiedy ich trąba zawoła. Będą o lepszy świat walczyć.

Na razie pilnują w górze złotej skrzyni. Kiedy by ludzie ją z góry wydostali, zapanowałaby wtedy na świecie wielka szczęśliwość. Ale takiej szczęśliwości ludzie jeszcze nie są godni.

W środku wioski jest loch jakiś czy jaskinia, gdzie się ukrywali Żydzi przed Niemcami. W czasie wojny Czerma została bardzo zniszczona. Długo we wsi był od bomby wielki dół, w którym woda była jak lzy ludzkie słońca.

Opowiedział Władysław Witkowski z Czermej, pow. Jasło, Opracował Władysław Długosz

## Zdarzenia tygodnia

6 bm. w Rzeszowie odbyło się posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Organizacyjnego XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, na którym omówiono wyniki przeglądów powiatowych oraz zatwierdzono program eliminacji wojewódzkich. Jak już podawaliśmy poprzednio odbędą się one w dniach 26 i 27 marca w kategorii młodzieży szkolnej, a 2 i 3 kwietnia w kategorii amatorów i młodzieży akademickiej.

W dniach 5 do 7 bm. odbyło się w Rzeszowie spotkanie członków Wojewódzkiego Klubu Reżysera Amatora, w którego ramach omówiono zagadnienia inscenizacji i reżyserii „Strip teasu” Sławomira Mrożka, prawa i normy poprawności językowej i historii dramatu (teatr elżbietański, dramat hiszpański i klasyczna tragedia francuska).

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna oraz WKZZ zorganizowały w dniach 3 i 4 bm. dwudniowe seminarium dla pracowników wypożyczalni powiatowych bibliotek publicznych i bibliotekarzy związkowych. Podczas zajęć uczestnicy wysłuchali prelekcji na temat niektórych zagadnień kultury z okresu Tysiąclecia Państwa Polskiego. Omówiono również sprawy związane z zakończeniem konkursu-plebiscytu „Bliziej książki współczesnej” oraz dokonano oceny rozwoju bibliotek i czytelnictwa w 1965 r.

4 bm. w sali WDK w Rzeszowie odbył się kolejny koncert symfoniczny Państwowej Orkiestry Symfonicznej. Koncert prowadził gościnnie rumuński dyrygent Georg Vintila. Drugim gościem zagranicznym rzeszowskiej POS był Peter Damm z NRD, który wykonał koncert na róg Es-dur nr 4 W. A. Mozarta.

6 bm. w rzeszowskim Domu Sztuki otwarto urządzoną staraniem Zw. Polskich Artystów Plastyków i Biura Wystaw Artystycznych wystawę rzeźbię Józefa Zatheya oraz grafik i temper Barbary Smoczeńskiej.



Red. EDMUND GAJEWSKI Rys. JERZY SIENKIEWICZ



## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY OBYCZAJOM SARMATÓW

...ponieważ niedawno obchodziliśmy 8 marca — Święto Kobiet, ze wstydem przedstawiamy czytelnikom pewną autentyczną historyjkę.

Miejsce i czas akcji: gromada w powiecie debickim 1966 rok.

### PŁEĆ I CHARAKTER

Prawdę mówiąc była to burza, ale nie w szklance wody. Debaty zaciekle, nieustępliwe. Zebranie gromadzkie przeciągało się, a końca widać nie było.

— Mamy swój męski ambic, protestujemy i basta — krzyczeli rozgorączkowani chłopcy.

Kandydatura Wojtka od Wawrzonów upadła, nie wylewał za kołnierz. Jasię od Michaśki jeszcze gorzej — nietrunkowy. Józek z nad Wisłoka nie przeszedł, wyznawał zasadę grunt to rodzinia. Michał jeszcze gorzej — trudny we współżyciu „rodzinnym”. Walek był szelma, nie mąż, Antek jeszcze gorzej, siedział pod pantoflem baby. Jednym zdaniem jak Maciej był „za” to Walek „przeciw”. I tak w koło Macieju. Aby uźdrowić sytuację wstał sekretarz gromadzkiej rady. Ktoś krzyknął:

— A jużci, widzieliście ich jacy hambitni — pijanice — wołaly baby. Oszczęde czytelnikom dalszej relacji. Nie można pominąć jednak pewnego nieprzewidzianego wypadku, który stał się epilogiem tego zebrania. W parę dni później do powiatu wyjechała niezwykła delegacja. Nietrudno się domyśleć, że byli to przedstawiciele lepszej połowy ludzkiego rodu.

— Nie krzyćcie!  
— Obywatele, proszę o spokój. Chciałbym powiedzieć parę słów. Do czego to wszystko podobne — zapytał retorycznie sekretarz.  
— Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.  
— Dobrze mówi — wyrwał się ktoś z sali.  
— Brawo — krzyknęło kilku optymistów.  
— Obywatele — ciągnął sekretarz — jesteśmy uświadomieni społecznie, czy nie! Proponuję więc wybrać kobietę, która zasługuje na to wyróżnienie. Mianowicie...  
Słowa zagłuszyła ogólna wrzawa.  
— Protestuję — ryknął jakiś osobnik spod pieca — już Wincenty z Bożęcina mówił — nie dawajcie dzieciom zapalek, a babom władzy.

Wojtek nie zagłada do kieliszka. Jasię wróg kumoterstwa. Walek — wzorowy mąż, — argumentowali delegaci. Jednak w powiecie nie znaleźli zrozumienia. Oburzeni więc zgodnym chórem oświadczyli:

— Baby u nas nie rządziły, nie rządzą i rządzić nie będą.

Drodzy czytelnicy, nie należy dziwować się, gdy w Wólce Wielkiej albo w Grajdołku Górnym entuzjaci równouprawnienia kobiet zorganizują wybory miss. Nie dziwujcie się również, jak któryś ze znanych nam „delegatów” na uroczystej akademii w dniu 8 marca „trzymał mowę” pt. „Kobieta równa mężczyźnie”.

Teoria i praktyka nie zawsze tymi samymi chadzają ścieżkami. Jest płeć i charakter. My, potomkowie Adama jesteśmy charakterni. C o i n n e g o k w i a t e k d l a E w y.



rys. Jeana Effela.

## WIDNOKRĄG odpowiada

E. Ch. Lesko: Z wiersza nie skorzystamy, bo jak Pan pisze istotnie kuleje w wielu miejscach. Dziwimy się, że Pan nam go przysłał wiedząc o tym. Czy Pan sądzi, że jeśli wiersz mówi o Wietnamie nie musi mieć żadnych wartości artystycznych? Tekstu nie zwrócimy, gdyż piszemy w każdym numerze, iż redakcja nie zamawia materiałów nie zwraca.